

**D**ziwnym zbiegiem okoliczności najpiękniejsze moje przestępstwo było zarazem ostatnim – mawiał Flambeau w okresie swej wysoce moralnej starości. – Stało się to w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia. Jako prawdziwy artysta, lubiłem zbrodnie stosowne do pory roku lub specyfikacji krajobrazu, a końcowy efekt umieszczałem troskliwie w tym właśnie ogrodzie albo na tamtym tarasie niby rzeźbiarz dbały o właściwe otoczenie dla swojego dzieła. Byłem zdania, iż wiejskiego szlachcica najlepiej ogołocić z gotówki w przestronnej komnacie o boazeriach z dębu, Żyd zaś powinien zorientować się, że został nagle bez pensa, pośród marmurów, brązów i świateł Café Riche. Gdybym uwalniał od części bogactw angielskiego kanonika (co jest sprawą mniej łatwą, niż się na pozór zdaje), pragnąłbym mieć za dekoracje szmaragdowe trawniki i stare wieże katedralne miasta. We Francji natomiast, gdyby udało mi się dobrać do kabzy bogatego i skąpego chłopca (co graniczy z niepodobieństwem), chciałbym zobaczyć jego wystraszoną minę na brunatnym tle smukłych topoli i galijskich malowniczych równin, nad którymi czuwa jeszcze podniosły duch Milleta.

Otóż moim ostatnim popisem była zbrodnia stosowna na okres świąt Bożego Narodzenia: pogodna, dobrotliwa zbrodnia na staroświecką modłę angielskiego mieszczaństwa

i Karola

Dickensa. Dopuściłem się jej w solidnym, zasobnym domu w Putney; w domu z półksiężycowym podjazdem, ze stajnią opodal, z szacownym nazwiskiem na obu bramach, z tulipanowcem pośrodku gazonu. To powinno wystarczyć, gdyż wszyscy mamy przecież takie domy z tradycjami. Moje naśladownictwo dickensowskiego stylu było, pochlebiam sobie, trafne i bardzo literackie. Niemal żałuję, że właśnie tamtego wieczoru obudził się we mnie żal za grzechy i skrucha.

Po takim wstępie Flambeau zaczynał snuć opowieści o wydarzeniach dziwnych nawet ze stanowiska aktora, a już dla widza prawie niezrozumiałych. Niestety jednak, czytelnik, oglądając je, musi się znaleźć przed, nie za rampą.

A zatem dramat rozpoczął się pod wieczór w drugi dzień Bożego Narodzenia, kiedy otwarły się drzwi domu (ze stajnią opodal) i na gazon (z tulipanowcem pośrodku) wyszła młoda dziewczyna, niosąc chleb dla ptaków. Dziewczyna miała ładną buzię i śmiałe piwne oczy, lecz niepodobna było ocenić jej figury, spowitej w futro tak dokładnie, że zacierała się granica między jasnobrązową sierścią a ciemnoblond włosami. Gdyby nie urodziwa twarz, osobkę tę można by wziąć za małego kudłatego niedźwiadka.

Zimowe niebo czerwieniało na zachodzie i rubinowe odblaski barwiły ogołoczone z kwiatów klomby, jak gdyby budziły na nich widma umarłych róż. Po jednej stronie domu była stajnia, po drugiej krążganek laurowego szpaleru wiódł do rozległego ogrodu w głębi. Panienska wysypała okruchy chleba (robiła to czwarty czy piąty raz od rana, bo pies wszystko zjadał) i wytyczoną laurami alejką przeszła wolno na

tyły domu, gdzie bujnie rosły wiecznie zielone krzewy. Tam wydała nagle okrzyk prawdziwego lub udawanego zdziwienia, bo uniósłszy wzrok, zobaczyła postać ludzką, siedzącą okrakiem na bardzo wysokim ogrodowym murze.

– Och, proszę nie skakać, panie Crook! – zawołała przestraszona. – To stanowczo za wysoko!

Jeźdźcem, który dosiadał muru niby powietrznego rumaka, okazał się wysoki, kanciasty młodzieniec o ciemnych włosach ostrzyżonych na jeża, inteligentnych, ba! nawet szlachetnych rysach twarzy i dziwnie ziemistej cerze, tym bardziej rażącej przy natrętnie czerwonym krawacie. Ów krawat był bodaj jedyną częścią garderoby, do której właściciel przywiązywał jaką taką wagę. Może uważał go za symbol? Mimo życzliwej przestrogi i możliwości połamania sobie nóg młodzieniec zwinnie, niczym konik polny, zeskoczył na ścieżkę i stanął koło panienci w puszystym futrze.

– Chyba urodziłem się na włamywacza – odezwał się rzeczowym tonem – i bez wątpienia zostałbym włamywaczem, gdybym nie przyszedł na świat w tym eleganckim domu tuż obok. W każdym razie nic nie mam do zarzucenia złodziejskim metodom.

– Jak pan może pleść takie głupstwa! – zgromiła go dziewczyna.

– Głupstwa? – powtórzył młodzieniec. – Jeżeli ktoś urodził się po niewłaściwej stronie muru, wolno mu chyba przesadzić mur?

– Nigdy nie wiem, co pan za chwilę zrobi albo powie – obruszyła się znowu.

– Ja sam często nie wiem – przyznał skromnie pan Crook. – Ale teraz przynajmniej znajduję się po właściwej stronie muru.

– A którą stronę uważa pan za właściwą? – spytała z przyjemnym uśmiechem.

– Tę, po której jest pani.

Gdy młoda para szła bez pośpiechu laurowym szpalerem, trzykrotnie odezwał się donośny

klakson i niebawem wspaniały, zdumiewająco szybki samochód jasnozielonej barwy przemknął jak ptak podjazdem i sapiąc, zahamował przed frontowymi drzwiami.

– Patrzcie, patrzcie! – powiedział młody człowiek w czerwonym krawacie. – Ten ktoś na pewno urodził się po właściwej stronie muru. Nie wiedziałem, że święty Mikołaj panny Adams jest taki nowoczesny.

– To mój ojciec chrzestny – wyjaśniła Ruby Adams. – Sir Leopold Fischer. Zawsze przyjeżdża do nas w drugi dzień Bożego Narodzenia. – Po krótkiej pauzie, świadczącej poniekąd o braku entuzjazmu, dodała: – Jest bardzo dobry.

John Crook, dziennikarz, słyszał naturalnie o słynnym potentacie z City; jeżeli zaś potentat z City nigdy nie słyszał o nim, nie było to winą Johna Crooka, który

w swoim czasie zamieścił na łamach „Surm Nowej Ery” kilka artykułów piętnujących i chłoszczących sir Leopolda Fischera. Obecnie jednak dziennikarz milczał i ponuro przyglądał się długiemu i skomplikowanemu wyładunkowi ze wspaniałego pojazdu. Barczysty, elegancki szofer w zielonej liberii wyskoczył przednimi drzwiczkami, a szczupły, elegancki lokaj w popielatej liberii – tylnymi. Wspólnymi siłami ustawili sir Leopolda Fischera na stopniach ganku i poczęli rozwijać go, niby zabezpieczony pakiet, ze szczególną troską. Usuwali pledy w ilości dostatecznej, by zaopatrzyć bazar, futra wszelkiego zwierza leśnego i szale we wszystkich kolorach tęczy, odsłaniając stopniowo kształty zbliżone do ludzkich. Wreszcie oczom widzów ukazał się pogodny starszy dżentelmen o nieco cudzoziemskim wyglądzie, zacierający ochoczo wielkie skórzane rękawice – starszy dżentelmen ze szpakowatą kozią bródką i uśmiechem zadowolenia na czerstwym obliczu.

Na długi czas przed zakończeniem skomplikowanych zabiegów otworzyły się oba skrzydła frontowych drzwi i na ganek wyszedł pułkownik Adams (ojciec otulonej futrem młodej damy), by osobiście wprowadzić dostojnego gościa w domowe progi. Był to wysoki, ogorzały, bardzo małowówny pan w podobnej do fezu czerwonej czapeczce, dzięki czemu wyglądał na jednego z owych Anglików, którzy w Egipcie uzyskiwali tytuły sirdara lub paszy. Gospodarzowi towarzyszył jego szwagier – pan James Blount – przybyły niedawno z Kanady, rosły, tęgi i nazbyt hałaśliwy młody ziemianin z jasnobłond brodą. Świtę uzupełniał niepozorny księżulo z pobliskiego kościoła katolickiego, gdyż nieboszczka żona pułkownika była katoliczką i dzieci (jak się często zdarza w przypadku małżeństw mieszanych) wychowane zostały w wierze matki. Niski, krępy duchowny robił wrażenie osobnika pod każdym względem pospolitego (nawet nazywał się Brown), lecz pułkownik wysoko cenił zalety towarzyskie sąsiada i często zapraszał go na uroczystości rodzinne.

W obszernym hallu znalazło się dosyć miejsca nawet dla potentata z City i jego okryć. Prawdę rzekłszy, ta część domu była nieproporcjonalnie duża w stosunku do całości i tworzyła przestronną komnatę zakończoną z jednej strony drzwiami frontowymi, z drugiej szerokimi schodami na piętro. Przed okazałym kominkiem, nad którym wisiała szabla pułkownika, zdjęto z gościa resztę wierzchniej odzieży i przedstawiono mu towarzystwo, nie wyłączając nastroszonego Crooka. Szanowany finansista nie zwracał jednak uwagi na prezentację i nadal mocował się z kosztownym, dobrze skrojonym ubiorem, aby wreszcie dobyć z tylnej kieszeni żakietu owalny czarny przedmiot i wyjaśnić z promiennym uśmiechem, że to drobny upominek dla chrześniaczki. Z pyszałkowatą, rozbrajająco naiwną miną pokazywał puzderko zgromadzonym i oślepił ich niemal, gdy otwarło się za pociśnięciem guziczka. Zdawać się mogło, że trysnęła nagle kryształowa fontanna. Trzy wspaniałe,

jasne brylanty spoczywały niby jajka w gniazdku z pomarańczowego aksamitu i lśniły tak, jak gdyby rozsiewały dokoła blaski ognia płonącego na kominku. Fischer przyjaźnie kiwał głową i upajał się łakomie zachwytem i radością panienki, cichym zdumieniem i lakonicznymi podziękowaniami pana domu i zazdrośnym podziwem reszty towarzystwa.

– Na razie schowam to, moja mała – oznajmił potentat z City i wsunął prezent do tylnej kieszeni żakietu. – Jadąc tutaj musiałem być bardzo ostrożny. Te trzy wielkie afrykańskie diamenty nazywają się „Latające gwiazdy”, a nazwę zawdzięczają zdumiewająco częstym kradzieżom. Mają je na oku wszyscy słynni złodzieje klejnotów. Ale nie dosyć na tym. Na taki widok ręce świerzbują nawet zwyczajnych ludzi z ulicy czy hotelów. Mogłem nie dowieźć prezentu. Utracić go po drodze. To było zupełnie możliwe.

– I, moim zdaniem, zupełnie zrozumiałe – rzucił opryskliwie młodzieniec w czerwonym krawacie. – Nie dziwiłbym się wcale tym zwyczajnym ludziom, gdyby wzięli świecidełka. Proszą o chleb, a nie dostają nawet kamienia; myślę więc, że wolno im brać tego rodzaju kamienie bez pytania.

– Nie chcę, żeby pan tak mówił! – zawołała żywo panna Ruby. – Zaczął pan mówić takie rzeczy dopiero wtedy, kiedy pan został tym ohydny... ohydny... No, wie pan, co mam na myśli! Jak się nazywa człowiek, który chce ścisnąć kominiarzy?

– Święty – odpowiedział ojciec Brown.

– Sądzę, że Ruby miała raczej na myśli socjalistę – wyjaśnił sir Leopold Fischer z pobłażliwym uśmiechem.

– Radykał nie musi udzielać dobrych rad ani konserwatysta być fabrykantem konserw – obruszył się niecierpliwie pan Crook. – Podobnie socjalista nie tęskni za socjetą kominiarzy; nie chce ich ścisnąć ani spędzać z nimi wieczorów. Domaga się tylko, żeby wszystkie kominy były czyszczone i wszyscy kominiarze otrzymywali godziwą zapłatę.

– A ponadto – dodał ksiądz Brown półgłosem – nie pozwala nikomu być właścicielem sadzy z własnego komina.

Młodzieniec w czerwonym krawacie spojrział na duchownego z zainteresowaniem i niejakim respektem.

– Czy komuś zależy na prawie własności do sadzy? – zapytał.

– Może zależy – odparł ojciec z wyrazem zamyślenia w oczach. – Słyszałem, że ogrodnicy na coś tam jej potrzebują. A raz w Boże Narodzenie, kiedy kuglarz zrobił zawód, uszczęśliwiłem sześcioro dzieci wyłącznie dzięki sadzom, którymi posłużyłem się do użytku zewnętrznego.

– Świetny pomysł! – Ruby klasnęła w ręce. – Niech ksiądz nas dzisiaj tak

uszcześliwi!